

Sannowski. Chmielowski Studja  
" Kobiety M-...  
(recenzja).



## Kronika literacka.

---

— Piotr Chmielowski: 1) *Studia i Szkice z dziejów literatury polskiej*. Serya II. (Kraków, Poznań, J. K. Żupański i K. J. Heumann, 1886, stron 392). — 2) *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*. Zarys literacki, wydanie trzecie, poprawione i powiększone. (Kraków, Warszawa, Gebethner i Sp. 1886, str. 316). — 3) *Nasi Powieściopisarze*. Zarysy literackie. (Kraków, Żupański i Heumaun, 1887, str. 631). — Szczęśliwa jest płodność i przykładowa pracowitość pana Chmielowskiego, który po dwutomowym *Mickiewicz* daje nam w ciągu jednego roku cztery tomy mniejszych swoich rozpraw. Mogłoby to nawet wydawać się dziwnem, a może i dla autora cokolwiek niebezpiecznem, gdyby to wszystko było z nowego w tak krótkim czasie pisane. Ale są to po większej części rzeczy gotowe, z dawniejszych i bliższych lat, uzupełnione, poprawione, odmienione gdzie autor czuł tego potrzebę, razem zebrane i pod wspólnym tytułem ogłoszone. W ten sposób płodność na pierwszy rzut oka niepokojąca, okazuje się rzeczą naturalną. Dwa z tych tomów należą wprawdzie jeszcze do roku zeszłego, i cokolwiek późno dajemy o nich wiadomość. Ale wiadoma rzecz, że nie zawsze jest się w możności zrobić wszystko, co by się zrobić chciało, i że lepiej przecież późno, jak nigdy. Zatem bez wymówek i tłumaczeń przystępujemy do rzeczy.

Druga serya *Studjów i Szkiców z dziejów literatury polskiej*, przewyższa zdaniem naszym pierwszą, z której zdawaliśmy sprawę przed kilkoma miesiącami (zeszyt z października 1886). Prawda, że same przedmioty, bliższe i ważniejsze, i czytelnika więcej mogą zająć, i autorowi więcej dostarczały pola do spostrzeżeń i sądów; ale też tom niniejszy takie nam zrobił wrażenie, jak żeby obejmował bodaj czy nie najlepsze rozprawy pana Chmielowskiego. Pierwszą w ich szeregu jest *Pogląd na Poeszyę polską w pierwszej połowie XIX wieku*, obraz ogólny i treściwy, który mógłby być

wstępem czy programem do dzieła o historii tej poezji, podajacym czytelnikowi z góry wiadomość ogólną o tem, co w dalszych rozdziałach znalazłby szczegółowo opowiedzianem i udowodnionem. Bez takiego dalszego ciągu ten pogląd ogólny a krótki, jest oczywiście zbyt ogólnym; może tylko dać wyobrażenie o charakterze tej poezji i jej różnych pierwiastkach i przemianach, — nie może dać jej obrazu. Ale wyobrażenie to daje (ogółem biorąc) trafnie i dobrze; kto wie czy nie z głębszem wnikiem w polityczne i moralne pierwiastki tej poezji, niż się to widziało w większem tego autora dziele poświęconem Mickiewiczowi. Nie idzie zatem, żeby nasze własne zdania i sądy zgadzały się zawsze z tym *Poglądem* pana Chmielowskiego; owszem, różnice są bardzo znaczne. Stoi on zawsze na temsamem stanowisku zasadniczem, według nas przestarzałem, na którem katolicyzm wydaje się jeszcze temsamem co obskurantyzm, rozum nie do pogodzenia z wiarą, a demokracja zdaje się mieć rację bytu i cel nie w harmonii z innemi pierwiastkami i siłami w społeczeństwie, ale owszem we wrodzonym i nienawistnym przeciwieństwie. Nam to wszystko wydaje się już inaczej, — ztąd zasadnicze nieraz w pojęciach i zdaniach różnice. Ale tem dziwniejsza rzecz, i tem do wyznania przyjemniejsza, że pomimo tych różnic tak się często na sądy pana Ch. godzimy. Co do wieku XVIII (od którego oczywiście zacząć musiał), mielibyśmy mu do zarzucenia, że zbyt łatwowiernie wierzy w hasła tego wieku, a nie dość sadzi jego skutki, że pewne filozoficzne i polityczne sympatye zaślepiają go czasem na wartość nie już zasad (skoro ma inne), ale samych rozumów i talentów; co zaś do szczegółów, to rzeklibyśmy, że niema dość wyraźnego rozróżnienia, rozgraniczenia między charakterem i rodzajem starszych i młodszych poetów Stanisławowskich, o których mówi, jak żeby różnili się tylko kierunkiem i rodzajem talentów. Tymczasem inne wydały ich lata i wpływy, a te dały im inne pojęcia, inny rodzaj i uczucie i charakterów. Z przyjemnością spotkałiśmy wzmiankę o charakterystycznym *Bardzie Polskim*; ale ze zdziwieniem czytaliśmy, że jest bezimienny. Że tak był ogłoszony to prawda; ale *incognito* jego już dawno odkryte. Czyżby cenzura nie była pozwoliła wymienić nawet nazwiska tego autora?

Później, kiedy p. Chmielowski przechodzi już do epoki Mickiewiczowskiej, znaleźlibyśmy często sposobność spierać się z nim o większe lub mniejsze znaczenie tego albo owego poematu czy poety; Wallenrod naprzykład jest w naszych oczach większy, Goszczyński cały, mniejszy, niż w jego oczach; ale częściej wypada nam godzić się, niż spierać, i główne zwroty i zjawiska naszej poezji wydają nam się trafnie określone i wytłumaczone. Z tem wszakże zastrzeżeniem, które zrobiliśmy na wstępie, a które w ciągu czytania przypomina i powtarza się często. Niesprawiedliwością i grubą pomyłką jest naprzykład stawiać po jednej stronie Pola, jego czytelników i wielbicieli (do których podpisany nie

należy), a po drugiej «tych, co pragnęli polepszenia doli ludu i znali wartość badań naukowych.» Pol sam nie zasługiwałby na tak niekorzystne określenie, a cóż dopiero otaczający świat, którego on był może pisarzem aż nazbyt ulubionym, ale nigdy wiernym, dokładnym wyobraźnikiem.

Najobszerniejsza i zdaniem naszym najlepsza jest rozprawa druga o *Brodzińskim* (napisana w r. 1881, uzupełniona w 1886). Cenimy w niej naprzód to, że przedstawia Brodzińskiego w właściwej mierze i właściwym świetle: nie robi go większym niż był, ani go nie krzywdzi, jego tklivością i sielankowością się nie żarza, a dla tej tklivości ma wyrozumiałość, uszanowanie dla charakteru i działalności Brodzińskiego, należyte zrozumienie tego, co w nim dobre i sympatyczne. Oprócz tej ogólnej zalety, ma rozprawa i tę drugą bardzo cenną, że pierwsza obszernie i trafnie analizuje i określa Brodzińskiego wyobrażenia estetyczne i jego działalność profesorską. O «śpiewaku Wiesława» mówiło i pisało wielu aż do znudzenia, ale krytycznych i literackich dzieł Brodzińskiego nikt dotąd, ile wiemy, nie dał poznać tak dokładnie i tak trafnie. Osobny ustęp w rozprawie zajmuje Brodzińskiego «działalność wolnomularska.» Ustęp ciekawy i nowy niezaprzeczenie, tylko rzecz sama nie ma zdaniem naszej tej wagi, jaką jej p. Chmielowski przypisuje. Nie o tem zaś mówimy, że *Mularstwo* podług niego jest rzeczą dobrą, podług nas najgorszą, ale o tem, że ogromna większość ówczesnych Mularzy polskich, rozumiała swoje Mularstwo inaczej, niżby się z tej rozprawy zdawało. Było ono liczne i modne, i było rozumie się zawsze szkodliwe, ale było w niem lekkomyślniej jakiejś dobroduszości więcej, aniżeli silnego i czynnego poczuwania się do masonskich obowiązków. W czasach, kiedy posłuszeństwo kościelne było bardzo osłabło, a kiedy było szczere i gorące pragnienie wolności i sprawiedliwości, na papieskie zakazy zważano mało, a hasłom mularskim wierzono [n]aiwnie. Wstępowano też do tej lub owej loży, a mnimano, że grunt uczuć i przekonań może zostać czem był. Jakoż najczęściej zostawał nietknięty, i z czasem taki polski mason dojrzalszy zapominał o swoim masonstwie i śmiał się z niego, jak z błahej zabawki. Zналиśmy jeszcze wielu współczesnych Brodzińskiemu masonów (p. Chmielowski już ich zapewne znać nie mógł) i słyszeliśmy z ich własnych ust zawsze to samo wyznanie, że wchodzili do sekty w filantropijnych i patriotycznych złudzeniach, a po krótkim w niej pobycie mieli ją za błałą i niesmaczną komedye. Oczywiście wszyscy tacy stali gdzieś na najniższych szczeblach mularskiej drabiny, i nie wiedzieli sami, co robili. Jak dalece w owym czasie *Mularstwo* nie było znane ze swego charakteru i działania anti-religijnego i rewolucyjnego, za dowód może służyć naprzykład Kajetan Koźmian, który taksamo jak Brodziński pisywał wiersze na mularskie uroczystości. Tasama niewiadomość, tasama łatwowierność względem pozorów, i tasama

moda wreszcie, mogła i Brodzińskiego zaprowadzić do łoży. Jego zaś «mularska działalność» skończyła się według pana Chmielowskiego, z «katolicką reakcją» nastająca z ustąpieniem Stanisława Potockiego, a przyjściem Grabowskiego do ministerjum oświecenia. Brodziński przestał niby wtedy pisywać masonskie wiersze, bo te mogły go przyprawić o utratę posady. Czy nie lepiej wytłumaczyć to powodem prostszym i łatwiejszym, tym mianowicie, że spostrzegł się, iż jego wiara nie pozwalała mu być w stowarzyszeniu potępionem przez Kościół, i że jeżeli do wyższych stopni doszedł, mógł ujrzeć sprzeczność między mularstwem a swoim sumieniem, — jeżeli zaś do nich nie doszedł, uznać mularstwo za rzecz błahą i zrazić się do niego tak, jak wielu innych. — Szkic następujący daje dokładną i zajmującą wiadomość o *Balladach* (słabych zresztą) *Tomasza Zana*. — *Juliusz Słowacki Towianczykiem* (z roku 1877) to przedmiot ciekawy; nie przeczymy, że dobrze opowiedziany, to jest, że przebieg tej choroby u Słowackiego trafnie jest złożony w ciąg na podstawie jego listów, i że psychologiczne powody, które ją sprowadziły, są pokazane w sposób zrozumiały i trafny. Nie znajdujemy tylko tego, czego w rozprawie szukaliśmy ze szczerem upragnieniem, to jest przedstawienia choćby w zarysie tej filozofii i religii Słowackiego, i wykazania w czem się ona różniła od Towianizmu jako takiego, przynajmniej od Towianizmu Mickiewicza. Prawda, że zagadnienie to do rozwiązania nader trudne, i sam Słowacki zapytany, może nie potrafiłby odpowiedzieć... on może właśnie najmniej ze wszystkich! Jedno tylko mamy zastrzeżenie do zrobienia. Mówi pan Chmielowski, że wiersz *Do Autora trzech psalmów* pisany był «w obro-  
«nie ludu i propagandy demokratycznej, którą Krasieński potępiał.» Ludu przed Krasieńskim nikt nigdy bronić nie potrzebował, a polityki Towarzystwa Demokratycznego nikt przeciw niemu obronić nie potrafił.

*Krasieńskiemu* znowu poświęcone są dwie rozprawy następne; jedna o pierwszym (z Gaszyńskim), druga o drugim (z Soltanem) tomie jego korespondencji. Drobne niedokładności, naturalne u pisarza, który nie może znać w najdrobniejszych już szczegółach wszystkich okoliczności życia i stosunków Krasieńskiego, zdarzają się tu czasem, ale nie są liczne ani rażące; charakter korespondencji dobrze uwydatniony, a choć autor przekonał Krasieńskiego (ile się zdaje) nie podziela, artykuły pisane są w tonie wysokiego uszanowania, nieledwie sympatyi. Widząc to, sądzimy, że wiele Krasieńskiego uwag, dowodzących jego wielkiego, zwłaszcza w rzeczach politycznych, rozumu, autor pomija nie dlatego, iżby ich nie widział albo nie cenił, ale że rozmiary artykułu nie pozwoliły mu szerzej się rozwodzić.

Ostatnia rozprawa o *Bohdanie Zaleskim*, pisana była jeszcze w r. 1877, a uzupełniona w 1886 r., po śmierci poety. W części pierwszej kreśli autor życiorys (krótko ale dokładnie), w drugiej

rozbiera i sądzi dzieła Zaleskiego. Jak? Chcielibyśmy w głębokim dla poety uznanowaniu i szczerem do niego przywiązaniu, dziś zwłaszcza, kiedy on już nie żyje, mózł powiedzieć i dowieść, że krytyk jest zbyt surowy; ale jeżeli tu i owdzie takim nam się wydaje, to ogółem nie możemy protestować przeciw temu, co mówi o rodzaju i rozmiarach talentu Zaleskiego, o jego dziełach takich, jak *Duch od Stepu* i *Przenajświętsza Rodzana*, a spieszmy dodać, że krytyka nie narusza w niczem tych uczuć, które się Zaleskiemu od każdego z nas należą.

Na zakończenie powtarzamy to, cośmy powiedzieli na wstępie, że tom niniejszy zdaje nam się zajmować miejsce bardzo zaszczytne między pismami pana Chmielowskiego.

Już tego nie powiemy o drugiej jego książce, *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*. Wogóle nie możemy się zaprzeczyć pewnego niedowierzania względem tego rodzaju studyów. Przykład jego dali, jeżeli się nie mylimy, Niemcy, u których był on może skutkiem znacznego już obrobienia, a poniekąd i wyczerpania pytań i zagadnień krytyki. Tyle badali i roztrząsali pewien przedmiot, że w końcu przyszła kolej na jego szczegóły, na przykład na postacie niewieście w Homerze. Był to poniekąd wyczerpanie krytyki po trudach nad większymi ogólniejszymi pytaniami. Może u nas po szczytach dojdzie krytyka do szczytu, od szczegółowych i mniej ważnych kwestyj zacznie, a dojdzie do ogólnych historycznych obrazów i do rozwiązania estetycznych zagadnień; ale droga taka, wyznajemy szczerze, wydaje nam się niepewna, i jak żeby na to stworzona, by krążyć koło przedmiotu, a do rdzeni jego nie sięgnąć. Prócz tego zdaje nam się, że żadna postać niewieścia czy mezcza z poematu lub romansu, nie da się dobrze zrozumieć i opisać, jeżeli sama tylko będzie przedmiotem pytania. Odpowiedź byłaby i bardziej zajmująca i mniej jednostronna, gdyby ta pewna postać występowała w niej (jak występuje w poemacie) w związku z innymi, jako część pewnej całości, pewnej grupy. Studya nad kobietami czy Homera, czy Szekspira, czy Mickiewicza, przypominają nam zawsze te gimnazjalne wypracowania, w których uczniowie mają »opisać charakter« *Maryi Malexewskiego* na przykład, lub jaki inny. Dla wprawdy uczniów, od których wiele żądać nie można, może takie zadania są dobre, nie chcemy sądzić ani ganić. Ale dla starszych i dojrzałych, wydają nam się albo niesłychanie trudne, jeżeli mają dać istotnie głębszą i rzeczywistą charakterystykę pewnej grupy poetycznych ideałów, albo zbyt czyste, jeżeli mają być ich charakterystyką tylko powierzchowną.

Jakkolwiekbaż, ten rodzaj praw krytycznych musi się u nas podobać. Mieliśmy w swoim czasie *Kobiety Słowackiego* p. Bałuckiego; dziś p. Chmielowski rozszerza zakres zadania, i mieści w nich prócz Słowackiego, jeszcze kobiety Mickiewicza i Krasiń-

skiego; a że publiczność lubi takie rozprawy czytać, dowodzi ta okoliczność, że p. Chmielowski już po raz trzeci tę swoją pracę wydał (1872, 1880, 1886).

Oczywiście, nie możemy tu dyskutować o każdej takiej heroinie z osobna. Chcąc dowodzić, w czym według nas charakterystyka każdej z nich jest trafna, a w czym nie, musielibyśmy napisać drugą książkę, co najmniej tak dużą jak ta, o której mówimy. Poprzestajemy zatem na ogólnych tylko uwagach. Pierwsza tyczyłaby się stanowiska, z jakiego p. Chmielowski sądzi te wszystkie biedne *kobiety* i ich biednych autorów. Podług niego (*Kobieta w rzeczywistości i w poezji*, pierwszy rozdział książki) wszystkie te poetyczne ideały niewieście są jednostronne, przez to niewystarczające, nieprawdziwe. Poezja romantyczna sama do zbytku uczuciowa i rozmarzona, tworzyła też i postacie na obraz i podobieństwo swoje. To też całe życie i całe jestestwo bohaterek naszej poezji zasada się i ogranicza na uczuciu, a przecież nie taką jest kobieta w rzeczywistości, nie taką zwłaszcza być powinna. «Jeżeli poezja ma być odbiciem rzeczywistości... to musi «dawać obraz *całkowitej* działalności kobiety, wszystkich dążeń, «wszystkich usiłowań, jakie ona przedsięwzięje, w celu zrównania «się z mężczyzną... uczucie samo nie jest w rzeczywistości «całością natury niewieściej, nie powinno nią być i w poezji. Szer-«szy i wspanialszy obejmując zakres, poezja stanie się wszech-«stronniejszą i żywotniejszą... i t. d...»

Żądanie to wydaje nam się samo w sobie wątpliwej wartości, a niesprawiedliwym, o ile się odnosi do naszych trzech poetów. «Jeżeli poezja ma być odbiciem rzeczywistości», to musi brać w swoje ideały to, co jest *rzeczywiście*, niezmiennie w naturze ludzkiej jako jej istota i jej prawo, i musi brać w nie to, co znajduje w otaczającej rzeczywistości swego świata. Co do tej ostatniej rzeczywistości czasowej i przemijającej, to trudno żądać od poetów, żeby odbijali z niej to, czego w niej nie było. Nie mogła Aldona Mickiewicza, ani Aniela Słowackiego «przedsiębrać usiłowań w celu zrównania się z mężczyzną», bo za czasów, kiedy te kreacje w umysłach tych poetów powstawały, myślał poeta i myślała kobieta, że ona nie potrzebuje dążyć do zrównania się z mężczyzną, któremu równą jest, a nie powinna ani może go zastąpić, bo tego nie potrafi, nie jest do tego przeznaczona. Z tego sposobu myślenia wychodząc, Aldona jak Elsinoe, panna Aniela, jak Zosia sądzi (zapewne mylnie?) że jest z Konradem czy z Irydionem, z Puławskim czy z Tadeuszem na równi, kiedy wszystko co szlachetne i dobre rozumie, jak on, i dlatego wszystko zrobi albo poświęci, co w swoim zakresie zrobić lub poświęcić może. One mają inny rodzaj energii i działania jak mężczyźni, ale nie mają ich mniej. Aldona nie może zostać Wielkim Mistrzem krzyżackim, jak Konrad, ale może się wszystkiego wyrzec na to, by Konrad nim został i nieprzyjaciela zgubił. Zosia nie idzie do



wojska jak Tadeusz, ale potrafi, jak jego żona zostanie, rządzić jego domem i mieniem, póki on będzie na wojnie, pójść za nim na Sybir, jeżeli zostanie jeńcem, a jeżeli zginie, wychować jego syna tak, żeby nie był gorszym od ojca, i życie narodu w duszy tego syna i przez nią utrzymywać. To jest ich rodzaj działania i bohaterstwa, nie gorszy, wymagający niemniej energii woli i charakteru, jak uczenie się medycyny, zabieranie głosu na *meetingach* lub wydawanie pism peryodycznych. W potrzebie potrafiłyby one rzucić się w ogień, jak obywatelki Saguntu, albo ratować się jak córka Tuhana, którą p. Chmielowski jako przykład energicznego dodatniego charakteru między kobietami Mickiewicza wyszczególnia. (W nawiasie mówiąc, figury z ballad są tak z natury rzeczy szkicowane i nierozwinięte, że nie można ich słusznie liczyć między poetyczne charaktery; jeżeli zaś ma być przeciwnie, to w takim razie niejedna taka bohaterka ballady mogłaby mieć do p. Chmielowskiego słuszną pretensję, że ją pominał, Rybka na przykład, albo pani Twardowska, albo ta Pani co zabiła Pana, albo dopiero Switezianka!).

Zdawało nam się, — i zdaje się jeszcze dotąd, mimo książki, o której mówimy, — że jedną z cech charakterystycznych większości naszych poetycznych heroin, jest właśnie zdolność postanowienia, zdolność wykonania tego, co postanowiły, odwaga w niebezpieczeństwie i w cierpieniu, wierność temu, co mają za swój obowiązek, zdolność poświęcenia siebie i swego szczęścia dla jakiegoś wyższego celu i prawa, — czyli, że jest w nich siła, wola, wzniosłość, duch publiczny, wszystkie warunki wielkich charakterów i wielkich heroizmów. Widzimy je w *Maryi Malezewskiej*, kiedy swoje nieszczęście znosi spokojnie i godnie, a Wacława wyprawia na Tatarów; w *Aldonie*, kiedy zrozumiała o co chodzi i wyrzekła się swego szczęścia; w *Anieli z Beniowskiego*, kiedy z konfederatami trzyma, a w niebezpieczeństwie ojca nie odstępuje; nawet w *Zosi*, kiedy Tadeusza żegna przed wyjściem na wojnę, a jego dobre zamiary rozumie i podziela. Ten rodzaj odwagi i energii zdaje się być dla pawa Chmielowskiego trudnym do dostrzeżenia, skoro tylko takie kobiety, które wojują, jak Grażyna, a przynajmniej umierają, jak córka Tuhana, wydają mu się mieć energię i charakter. Podług naszego zaś uczucia i przekonania tamte, choć niewojujące, mają właśnie to wszystko, przez co kobieta może być i jest mężczyźnie równa, a zbyt często od niego wyższa.

I dlatego właśnie — przechodzimy teraz do drugiej części naszej uwagi, — dlatego mają te niewieście postacie naszych poetów tą rzeczywistość i prawdę wyższą, niezależną od wpływów i względów czasu, ale opartą na naturze ludzkiej i jak ona niezmienną; dlatego także mają i swój poetyczny wdzięk, i zachowują go zawsze. Gdyby one robiły »usiłowania, by zrównać mężczyznom«, upominały się o prawa kobiety, i tak dalej, podobałyby się może

bardzo niektórym ludziom z drugiej połowy XIX wieku, ale odbijałyby tylko upodobania tych ludzi, a nie rzeczywistość stałą i istotną ludzkiej natury. Emancypantka lub doktryner z naszych czasów, unosiłoby się nad takim ideałem kobiecym w poezyi, ale pokolenia następane możeby ideal taki znalazły nudnym albo śmiesznym. Że kobieta ma więcej od mężczyzny dobroci, czułości, że ma myśl i wyobraźnię czystsza jak on, a sumienie czujniejsze, że w uczuciach swoich więcej od niego jednostronna, zapewne jest i więcej w nich skupiona, że ma serce niewiększe może, ale miększe i rzewniejsze, skłonniejsze do poświęcenia, do przebaczenia, że w miłości swojej (miłości czy męża, czy dzieci, czy ojczyzny, czy Boga), jest bardziej od mężczyzny jednolita, zupełna i idealna, — to jest jej natura, jej prawo, i jej wdzięk w życiu, jej rzeczywistość i prawda w poezyi. I zawsze tak pojmowali ją poeci, z takiego jej pojęcia wyszły wszystkie te nieśmiertelne niewieście postacie, od Antigony do Desdemony, do Tekli, do Aldony, którym przez wieki zachwycają się wyobraźnie, dla których zawsze biją serca uwielbieniem czy współczuciem. Odbierzmy im *das ewig Weibliche*, a dajmy natomiast jaką deklarację praw kobiety, to tendencya i doktryna z pomocą reklamy dadzą im może oklaski, ale żadna wyobraźnia do nich nie przyłgnie, żadne młode serce do nich nie zabije. Rezonująca filozofka czy redaktorka, nie potrafi nigdy być ideałem poetycznym, jak w rzeczywistości młodzieńcy nie będą się nigdy kochali w doktorkach, redaktorkach, autorkach, filozofkach i polityczkach, ale zawsze tylko w kochających dziewczętach albo kobietach.

Stanowisko p. Chmielowskiego w sądzeniu tych poetycznych kreacyj jest więc, zdaniem naszym, samo w sobie fałszywe, a w stosunku do nich właśnie niesprawiedliwe. To nasza pierwsza i główna uwaga.

Druga byłaby ta, że charakterystyka tych kreacyj, nawet kiedy trafna, jest niedostateczna. Zawsze bardzo krótka, nieraz poprzestaje na prostem przypomnieniu tego, co ta lub owa heroina robi, a o jej naturze, o rodzaju jej uczuć, o powodach jej postępów, rzadko kiedy daje wyobrażenie. Wygląda to wszystko razem, nie na głębsze i samoistne studjum tych różnych poetycznych postaci, ale na ustępy o nich, wyjęte z ogólnej recenzyi poematów i razem złożone.

Nakoniec jeszcze to musimy dodać, że delikatny urok, jaki kobietom swoim umie nadawać Słowacki, choć nie wąpimy, że dostrzeżony przez recenzenta, uwidoczniiony przez niego nie jest, a kto nie zna Anieli czy Amelii, Lilli Wenedy czy Diany, ten z przeczytania tej książki bodaj czy mógłby nabrać o nich dosyć wyobrażenia, żeby zapragnął poznać je z pierwszej ręki. Za to (rzecz dziwna) figury kreślone bardzo wyrazistemi rysami, tak wyrazistemi, że są aż prawie grube, jak Matka Balladyny albo (zwłaszcza) pani Rollisonowa z *Dziadów* (która znowu z *kobietę*

*Mickiewicza* uchodzić nie może), mają ten przywilej, że się panu Chmielowskiemu podobają. Zazwyczaj niewnikający w różne od-cienia i zawiłości tych natur, czasem bywa p. Chmielowski do zbytku znów subtelnym, kiedy naprzykład biednej Grażynie wy-rzuca próżność i zbyteczną drażliwość na ludzkie sądy na pod-stawie słów:

„Nie chcę, ażeby po *Litwie gadano,*  
 Że brat na brata następował zdrowie  
 Wziął gardło lub dał za *Grażyny wiano.*”

*Niebianką* Grażyna nigdy nie była ani być chciała, a że o dobrą sławę męża i własną dbała, to nie przez próżność może, ale przez instynkt honoru i godności, przez uczucie obowiązku wreszcie.

Ale rozmiary naszej kroniki każą nam kończyć, choć nie zbywałoby na przedmiotach, ani na ochocie do dyskusyi, a spieszyć do innej jeszcze pracy tegosamego autora.

*Nasi Powieściopisarze*, to znowu zbiór rozpraw i artyku-łów z lat różnych, razem w jednym tomie wydany. Pierwszy w tym szeregu jest *Józef Ignacy Kraszewski*, rzecz pisana z okazji jubileuszu Kraszewskiego w roku 1879. Przedmiot bardzo dowcipnie do takiej okoliczności wybrany, bo obejmuje tylko czasy młodości, *pierwsze dziesięciolecie* Kraszewskiego; zatem co zganić wypadnie, to się i złożyć da na młodość autora, brak doświad-czenia, niezupełną jeszcze dojrzałość talentu i t. d. Pomimo tej jubileu-szowej okazji, która zapraszała do panegiryku, krytyka jest dość ostra. Chwianie się Kraszewskiego między różnemi rodzajami i wzorami, zły smak objawiający się bądź to w realizmie źle po-jętym czy źle zastosowanym, bądź w fantastyczności wymuszonej lub dramatyczności przesadnej a pozornej, wszystko tam jest albo wyraźnie powiedziane, albo przynajmniej dane do zrozumienia. Okoliczności życia, stosunki z ludźmi, wpływy jakie na Kraszew-skiego w tym okresie działały, wszystko to jest. Rozprawa zatem powinna być doskonałą. Nie jest nią, naszym zdaniem, o tyle, że (jeżeli się nie mylimy) nie daje ona dostatecznego wyobrażenia o tej grupie powieści Kraszewskiego. Kto ich sam nie czytał — a takich dziś już musi być bardzo niewiele — ten wtapimy czy zdola wymiarkować jakie one są, ładne czy brzydkie, dobrze czy źle pisane, albo które ładniejsze i lepsze, a które brzydsze i gorsze. Względ na jubileusz i uwaga by nie ganić zbytecznie, nie wy-starczy by to wytłómaczyć, bo przecież nie do samej tylko krytyki i nagany przedmiot ten dawał pole, a wrodzone zalety i piękne lub głębsze pomysły Kraszewskiego, tak samo nie występują wyraźnie w swoich charakterystycznych rysach i znamionach, jak jego strony słabe.

Drugi z rzędu jest *Michał Czajkowski*. Określony trafnie,

choć może bez dostatecznego względu na wdzięk, jaki on czasem ma niezaprzeczenie, i z jednym zarzutem niezupełnie słusznym. Czajkowski «opisuje zewnętrzną postać swoich bohaterów, skrztetnie «notuje dowody siły ich ramienia, unosi się nad ich męztwem, «lecz nie lubi kreslić szczegółów ich umysłowości i t. d.» Że można opisowym sposobem charakteryzować ludzi lepiej i głębiej jak Czajkowski, to pewna. Ale żeby pisarz, który opowiada — (w powieści czy poemacie) — mógł nie posługiwać się głównie tym zewnętrznym sposobem charakteryzowania, to nam się nie zdaje. Od Homera aż do Walter-Scotta przynajmniej i do Mickiewicza, wszyscy tak robią, a nawet ci, co (jak Balzac) zdają się robić inaczej, podlegają przecież bardzo temu przyrodzonemu prawu, rodzaju, w którym piszą. Rzecz dziwna, to, że o sturczeniu, a następnie sprawosławieniu się Czajkowskiego nie ma ani słowa. Wzgląd na cenzurę tłómaczyłby może te ostatnie, ale o bisurmaństwie Sadyka Paszy cenzura rosyjska pozwoliłaby przecież mówić swobodnie. Czy autor rozumiał, że wartość człowieka nie wpływa na artystyczną wartość tego, co on pisze? W tem miał zapewne słusność; ale tego przecież zaprzeczyć nie może, że wartość człowieka należy do charakterystyki «*Naszych pisarzy*» i miejsce w niej znaleźć była powinna. Nie może być, żeby pan Ch. wartość moralną pisarzy miał za rzecz obojętną, albo też żeby zmiana uczuć narodowych w jego przekonaniu na wartość tę nie wpływała. Myśli on może, że to nie złego zostać z katolika Turkiem, ale z pewnością nie myśli, że nie złego z Polaka zostać Moskałem. A więc dlaczego ta wstrzeźliwość od zdania i sądu w tem właśnie, co w charakterystyce Czajkowskiego najważniejsze i najciekawsze?

Tensam brak w trzeciej rozprawie, o *Henryku Rzewuskim*. Najobszerniejsza to i najlepsza ze wszystkich. Koleje życia Rzewuskiego, wpływy wychowania i otoczenia, pierwiastki filozofii De Maistra, mistycyzmu Oleszkiewicza a może Mickiewicza, wszystko to starannie wydobyte i spisane, a same dzieła ocenione dość słusnie, z tem rozumie się zastrzeżeniem, że tak katolicyzm wyrozumowany Rzewuskiego samego, jak dobroduszny i naiwny niektórych jego bohaterów, wywołuje zawsze albo gniew albo pogardliwe szyderstwo w autorze, który w rzeczach religijnych namiętności musi mieć więcej jak wiadomości, a uprzedzenia więcej jak należytego zrozumienia. Jednej tylko rzeczy nikt się z tej długiej i dobrej rozpaczki nie dowięd, to jest, czy Henryk Rzewuski był godzien szacunku albo nie? czy go u pana Chmielowskiego znalazł czy nie? Tak zwana «*objektywność*» jest bardzo dobrą rzeczą, wyrozumienie zdań, przekonau, stanowiska moralnego, politycznego czy religijnego w drugim człowieku, także; ale i dobrych rzeczy nadużywać nie należy. A nadużyciem wstrzeźliwości czy delikatności wydaje nam się, jeżeli autor mówiąc o drugim i określwszy jego sposób myślenia i postępowania, wytłómaczywszy jego psychologiczne powody, w taki sposób traktuje lub pomija

szlachetność czy niskość tego człowieka, jak żeby sam ich nie rozoznawał albo je miał za obojętne. Tutaj nie znaleźliśmy ani wytłómaczenia psychologicznych powodów, które Rzewuskiego zrobiły takim, jakim był, ani tego o nim sądu, od którego naszym zdaniem w tym razie może jeszcze mniej jak w każdym innym, autor nie powinien był się wstrzymywać.

Powieści p. *Zygmunta Kaczkowskiego*, ich dążności i charakter, wydają się panu Chmielowskiemu rezultatem wielu historycznych sił i czynników. Emigracyjne spiski, rok 1846, wreszcie to, co nazywa «*reakcją katolicką*» (nie rozróżniając ma się rozumieć między reakcją policyjną i despotyczną takiego Bacha na przykład, a otrzeźwieniem społeczeństwa, które z anarchii wyjść chciało, nie widząc zdaje się anarchii w roku 1848, ani szkody w 1846), — oto źródła, z których według pana Chmielowskiego wytrysły niektóre kierunki naszej literatury, a między temi i powieści Kaczkowskiego. Może powód ten szukany zbyt daleko i głęboko; ale jakkolwiek bądź, czytelnik kiedy już doszedł do tych powieści samych, doznaje pewnego rozczarowania. Czyta wprawdzie ciągle o potężnym talencie, poruszającym najważniejsze kwestye, ale jaki to rodzaj talentu, jak te kwestye stawia i jak je rozwiązuje, jakie zwłaszcza są te powieści, tego znowu, jeżeli ich sam nie czytał, wyobrazić sobie nie potrafi. Charakterystyka talentu, dążności i powieści pana Kaczkowskiego, nie jest w tej chwili naszym zadaniem, zatem nie zapuszczamy się w dyskusyę. Na jedno tylko pozwolimy sobie zwrócić uwagę pana Chmielowskiego, w przekonaniu, że many do czynienia z człowiekiem uczciwym. Pisze on (na stronie 418) jako wróg «oligarchii osądził (Kaczkowski) bardzo surowo Stańczyków... iż «podczas wojny Wschodniej dopuścili się denuncyacyi względem «własnego społeczeństwa. Jako gorący patriota potępił Zmartwychwstańców i t. d.» Znany dość dobrze to stanowisko przestarzałe, to zacofanie pana Chmielowskiego w kwestyach religijnych, politycznych i społecznych, o którym parę razy mówić mieliśmy już sposobność i powinność. Kto jeszcze wierzy, że katolicyzm a obskurantyzm to jedno, kto rozumie demokrację, jak ją rozumiano w roku 1830, ten nie dziw, że wierzy w zdrady Stańczyków i Zmartwychwstańców. Ale kiedy o tych rzeczach pisze, to powinienby się powiadomić, jak się rzeczy mają z temi *denuncyacyami*, które zarzuca, a potem dopiero wyroki swoje ferować i wydawać świadectwa patryotyzmu!

Znowu czas i miejsce nie dają nam wdawać się w spór o pana *Zacharyasiewicza*; nie należymy do jego fanatyków, ale pan Chmielowski wydał nam się zbyt względem niego surowym. Za to nie był takim względem pana *T. T. Jeża* (Zygmunta Miłkowskiego). Ten traktowany jest *con amore*, z widoczną sympatją dla człowieka, która może doprowadza recenzenta do pewnych na korzyść autora uprzedzeń. Z takim upodobaniem opowiada, że w domu rodzicielskim pana Jeża nie było książek do nabożeństwa,

że ojciec «katechizmu podług rutynicznego zwyczaju w pamięć dzieci nie wtłaczał», że po wojnie węgierskiej młody emigrant zapisał się na członka Towarzystwa Demokratycznego, — tak przytem ani jednym słowem nie da poznać, że to Towarzystwo ma za szko- dliwie, bo robiło rzeczy dla sprawy polskiej zgubne, — że czy- telnik musi w końcu zapytać sam siebie, czy czasem znana ten- dencya powieści pana T. T. Jeża, nie wpływa cokolwiek na sąd pana Chmielowskiego, i czy bez jego wiedzy nie ukazuje mu, w rozmiarach większych niż są na prawdę, talentu, którego wiel- kich zalet, z jego sprawozdania przynajmniej, się nie poznaje.

Ostatni z kolei przychodzi najmłodszy — *Sienkiewicz*. Na wstępie musimy sprostować twierdzenie, jakoby powieści Sienkiewicza zrobiły tyle wrażenia i tyle miały rozgłosu, ile ich nie było od czasu pierwszych występów Kaczkowskiego i Deotymy. Naoczny świadek tych czasów, których pan Chmielowski tak pamiętać nie może, i świadek, który i sam już czytywał głośne powieści i bacznie słuchał co o nich mówiono, czujemy się w prawie za- ręczyć, że różnica jest wielka. Wtedy było dużo dziennikarskiej reklamy, i dużo gotowości do admiracyi ze strony publiczności, która pragnęła gorąco mieć dużo nowych pięknych polskich rze- czy, a przyjmowała je zbyt łatwo za dobre i rada wmawiała w siebie, że jej się bardzo podobają. Unosiliśmy się wtedy nad obrazami, które dziś ledwo śmiałyby się pokazać na jakiej wy- stawie, nad wirtuozami, których śpiewu lub grania dziś słuchali- byśmy niechętnie. Z powieściami było podobnie. Zawsze tylko Korzeniowski i Kraszewski (i coraz słabszy Rzewuski) od lat tyłu! Byliśmy tem cokolwiek upokorzeni; i nowy pisarz miał w tem naszym uczuciu potężnego sprzymierzeńca. Pisna war- szawskie przesadzały się w pochwałach; nie była to wyrachowana reklama, tylko dobroduszną łatwowierność, wymagań i sądu mało, a wielka chęć pochwalenia się swoją literaturą. Tak powstawały ówczesne reputacye. Gwaru było dosyć, — ale takiego wrażenia i wzruszenia prawdziwego i powszechnego, jakie wywołało *Ogniem i Mieczem*, możemy ręczyć i przysięgać, że nie było.

Ze Sienkiewicz osadzony jak się dalo najmniej korzystnie, to ro- zumié się samo przez się. Wszystkie usterki, zapomnienia, nieprawdo- podobieństwa, niedokładności, spisane skrętnie i starannie; pię- kności zbyt pobieżnie, albo może (jeżeli się nie mylimy) istotnie nie dostrzeżone przez recenzenta. *Ogniem i Mieczem* jest «apologią «gospodarki szlacheckiej, *idealizowaniem* tej polityki, która poczy- tując lud za bydło juczne, sobie tylko prawa ludzkie przyznawała». «Ogólne stosunki polityczne kraju... rola Ossolińskiego... elek- «cyja króla, zaledwo dotknięte. Na Ukrainie widzi Sienkiewicz tylko «szlachtę, Kozaków i czerń... mieszczenie i Żydzi nie występują «w akcyi». Czy powieść miała być historją i opowiedzieć wszystko co się w tych latach działo? Albo czy Sienkiewicz miał o to nie pytać, że wojny kozackie były początkiem końca Rzeczypospolitej

i stać po stronie Chmielnickiego dlatego, że on stał na czele czerni? tak jak w bliższych nas sprawach, niektórzy uśmiechają się czule do *Centralizacji Wersalskiej* pomimo (albo dla tego?) że sprowadziła rzeź roku 46go? Nie: ani historyi, ani kozaków, ani ludu Sienkiewicz nie skrzywdził i nie sfalszował, win polskich i szlacheckich nie idealizował; tylko gdyby w tej sprawie był zajął stanowisko inne jak to, które zajął, byłby musiał być pierwszej demokratycznym doktrynerem, a potem dopiero Polakiem. Że tem nie jest, to może bardzo źle i wielka szkoda; ale z tego grzechu, boimy się, że się chyba poprawić nie potrafi.

Jeden zarzut, zabawny. Sienkiewicz kreśli obrazy Ukrainy, a nie widział jej nigdy! Jakże inaczej robią sumienni pisarze. Flaubert naprzykład, który pisząc *Salamambo* pojechał zobaczyć ruiny Kartagi i na miejscu studyować społeczeństwo i cywilizacye, o których miał pisać! Flaubert, choć siadał na ruinach Kartaginy jak Mariusz, nie mógł więcej tam jak gdzieindziej dowiedzieć się o dawnej Kartadze, co najwięcej zobaczyć krajobraz, a z tego i z ruin o tem społeczeństwie i jego cywilizacji nie mógł dowiedzieć się więcej jak w Europie z książek. Cała też ta jego podróż była wielką fanfaronadą, jak cała *Salamambo* mimo fanfaronady i reklamy bardzo nudną powieścią, która pozorami wielkiej erudycji nie zdoła zakryć wewnętrznej swojej próżni, braku prawdy i rzeczywistości. Sienkiewicz na Ukrainę nie jeździł, to prawda; Slowacki nie znalazł jej także, a jednak jakoś ją szczęśliwie odgadnąć i poetycznie odtworzyć umiał. Zdarza się to czasem takim niedbalym, niesumiennym talentom, że unieją coś odgadnąć, przeczuć, odtworzyć intuicyą, i opisać lepiej niż drugi przy najstaranniejszych topograficznych i archeologicznych studyach. Bardzo to niemoralne, gotowi jesteśmy przyznać! i nie wątpimy, że z czasem i postępem znajdzie się jakiś sposób na ten gorszący przywilej, jakieś prawo przeciw tej arystokratycznej nierówności talentów!

Konkluzya tego wszystkiego jest, że pomimo wszystkich grzechów swoich i swego autora, *Ogniem i Mieczem* może «zająć» «zaszczytne miejsce obok *Listopada*, *Murdeliona*, *Uskoków* i *Hrabany Kosels*. Przeciw tej konkluzji musimy znowu protestować. Nie obok, ale nierównie i nieskończenie od tego wszystkiego wyżej, wyżej o tyle, o ile Sienkiewicz ma więcej wyobraźni, poezyi i epickiego talentu od autorów tamtych powieści.

Może niezadługo znajdziemy sposobność pomówić o tem obszerniej i postaramy się dowieść.







F

8962